LONDYN 28 WRZEŚNIA 1952 R.
ROK IV NR 37 (150)
Redaguje Wydział Informacyjno-Prasowy Zarządu Głównego SPK
16-20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7 tel WES 0747
Dodatek do „Gazety Niedzielnej"

POLSKA WALCZĄCA
SPK
KOMBATANT POLSKI
NA OBCZYŹNIE

SPK
ZAPEWNIA
ROZWÓJ
KULTURY
DUCHOWEJ I FIZYCZNEJ

Wystąpienie SPK w sprawie Polaków skazanych sądami w Niemczech

Zarząd Główny SPK wystosował memoriał do sekretarza generalnego Wysokiej Komisji Alianckiej dla Niemiec, G.P. Glaina oraz do trzech Wysokich Komisarzy okupacyjnych w sprawie Polaków, skazanych przez sądy okupacyjne w okresie od zakończenia działań wojennych do dnia 1 stycznia 1950.

Po wejściu w życie układu, podpisanego w Bonn dnia 26 maja 1952, więźniowie ci zostaną oddani pod jurysdykcję władz niemieckich. Niezależnie od tego na terenie republiki zachodnio-niemieckiej przebywa pewna ilość Polaków, którzy odbyli już kary, orzeczone w swoim czasie przez sądy okupacyjne i skutkiem tego w dokumentach swych mają wzmianki o karach sądowych.

Zarząd Główny SPK zwrócił się do władz okupacyjnych o zarządzenie rozpatrzenia spraw zarówno odbywających kary, jak też tych, którzy zostali już z więzień zwolnieni, aby:

skróciły lub darowały kary osobom przebywającym w więzieniach oraz wymazały z rejestrów karnych kary już odbyte.

Skazani są w większości ludźmi młodymi, których na drogę występku pchnęła wojna i związane z nią przeżycia. Niema! wszyscy byli albo więźniami niemieckich obozów koncentracyjnych albo byli przez Niemców przymusowo wywiezieni na roboty. Atmosfera bezprawia, poniżenia i gwałtu, w której żyli nieraz po kilka lat, mogła wywołać w psychice tych ludzi reakcje, prowadzące do naruszenia prawa. Wszystko jednak, co o nich wiemy, świadczy, iż były to reakcje przejściowe. Jest to element w zasadzie moralnie zdrowy.

Z drugiej strony kary, nakładane przez sądy okupacyjne, były niezwykle surowe. Było to usprawiedliwione częściowo w okresie porządkowania stosunków bezpośrednio po wojnie, ale dziś za te same przestępstwa kary musiałyby być znacznie łagodniejsze. Nie ma więc prawdopodobnie powodu, aby kary te po siedmiu latach od zakończenia wojny miały być utrzymane całkowicie w mocy.

Osoby, które posiadają w dokumentach wzmianki o karach sądowych pozbawione są całkowicie możliwości emigracji.

Układ, podpisany w Bonn, przewiduje rewizję wyroków, orzeczonych w stosunku do niemieckich przestępców wojennych. Wydaje się, że ludzie skazani za często niewielkiej wagi przestępstwa w stosunku do zbrodni niemieckich zasługują co namniej na taką samą względność.

Władze niemieckie, które obejmą jurysdykcję nad skazanymi, nie zapowiadają żadnych względów dla nich, zatem los tych ludzi leży w ręku aliantów przed ratyfikacją układu z 26 maja.

Zarząd Główny SPK zwrócił się równocześnie do ministra spraw zagranicznych, p. Sokołowskiego oraz do przewodniczącego Wydziału Wyk. Rady Politycznej, min. Zdziechowskiego, aby interweniowali w tej bolesnej sprawie.

Problemy Polonii nowozelandzkiej

(Korespondencja własna)

Gdziekolwiek osiadł po wojnie uchodźca polski, wszędzie — w miarę zwiększania się ilości nowoprzybyłych — jęły narastać rożnorakie problemy, zadania i trudności, zaczęło się też rozwijać i zwolna krzepnąć życie polonijne. Powstawały nasamprzód duszpasterstwa polskie, potem organizacje o coraz to szerszym zasięgu, a dzieci przybyłe z Europy lub też w miejscu osiedlenia zrodzone stawały się z reguły główną troską zarówno polskich czynników duchownych, jak i świeckich organizacyj.

Inaczej jednak układały się warunki powstawania Polonii w Nowej Zelandii. Urabiały się one i po dziś dzień jeszcze urabiają pod wpływem dwu różnych czynników: rządu i Kościoła z jednej strony, inicjatywy własnej z drugiej. Te dwa źródła energii, jedno płynące z zewnątrz, współdziałając ze sobą i ścierając się wzajemnie, stworzyły swoisty klimat, w którym rozwija się nasze tutaj życie.

* * *

Rząd i Kościół otoczyły od początku swą troskliwą opieką nieliczną garstkę przybyłych Polaków (ponad 900 osób, wśród których było aż 830 dzieci), nie szczędząc ani zachodu ani też — jeśli chodzi o rząd premiera Frasera — znacznych wydatków. Wprawdzie podówczas (listopad 1944 r.) prawowity rząd polski w Londynie był jeszcze uznawany i dzieci nasze przyjechały na mocy porozumienia pomiędzy władzami polskimi a nowozelandzkimi jako goście z prawem powrotu do ojczyzny po ukończeniu wojny. Władze polskie przydały dzieciom dobrany zespół wychowawców i nauczycieli, jak również jednego kapelana. Wkrótce też po przyjeździe do Nowej Zelandii powstało w obozie, dzieciom polskim wyznaczonym, w Pahiatua, wzorowe osiedle z kościołem, szkołą powszechną i gimnazjum polskim, utrzymymanym częściowo z funduszów polskich.

Po cofnięciu uznania rządowi polskiemu władze nowozelandzkie nadal lojalnie wypełniały swe zobowiązania, ale fakt, żeśmy stracili opiekę własnej placówki konsularnej i że urwał się dopływ pieniędzy z Londynu wpłynął hamująco na dalszy rozwój życia polskiego. Pierwsze padło ofiarą gimnazjum (1946), szkołę powszechną zamknięto w 1948 r. Diecezjalne władze kościelne nalegały na kapelana, by dopasował życie religijne obozu do zwyczajów istniejących w Nowej Zelandii. Chodziło tu, m. in., o zniesienie pewnych świąt uroczyście obchodzonych w Pahiatua jak u nas, w Kraju, względnie o przeniesienie niektórych z nich na niedzielę.

W miarę jak młodzież rosła, opuszczała ona Pahiatuę, udając się do Wellingtonu lub innych miejsc i obóz pustoszał. W maju 1949 r. obóz polski w Pahiatua został całkowicie zwinięty.

Powstały za to, przy współudziale władz państwowych i kościelnych, nowe placówki. A więc w Wellingtonie bursa dla chłopców i okazała bursa dziewcząt pod kierownictwem polskich urszulanek. Otworzono też bursę dla chłopców na prowincji, w Hawerze. Około 170 dzieci i młodzieży znalazło w nich jeszcze schronienie. Rząd też zgodził się opłacać specjalnego urzędnika do spraw dzieci polskich w departamencie oświaty oraz dwie nauczycielki języka polskiego. Utrzymano również istniejący już przedtem polski kurs korespondencyjny. — Ale i te zdobycze stopniowo ulegają likwidacji. W kwietniu 1952 r. zniesiono kurs korespondencyjny, w sierpniu zaś zlikwidowano etat jednej nauczycielki polskiego i kierownika bursy męskiej w Wellingtonie. Bursę tę można by jednak jeszcze czas pewien prowadzić, gdyby nie kategoryczny sprzeciw władz diecezjalnych. Bursa chłopców w Hawrze zostanie zamknięta w końcu 1953 r. Pozostanie może jeszcze, nie wiadomo na jak długo, bursa dziewcząt w Wellingtonie.

I tak władze miejscowe, umożliwiwszy naszej młodzieży start swoją wydatną pomocą, zmniejszają jednak stopniowo zakres swej opieki, likwidując jeden po drugim etaty i zakłady, i z pięknych ongiś urządzeń, którymi mogliśmy się szczycić, a które dziś nawet jeszcze dorównują tym np. co istnieją w Australii, nie pozostanie być może za lat parę nic poza wspomnieniem.

* * *

Ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyłaniają się nowe siły, s i ł y o d w e w n ą t r z, a życie tłumione w jednym miejscu bucha w drugim świeżą energią. Objaw ten należy przypisać temu, że w ciągu ostatnich kilku lat przybyło do Nowej Zelandii sporo zdemobilizowanych wojskowych, jak również pewna ilość dipisów. Ten zastrzyk świeżego elementu polskiego przyczynił się znacznie do ożywienia życia kulturalnego, intelektualnego i społecznego. Stowarzyszenie Polakow, którego początki były skromne, pięknie się teraz rozwija i liczy już około 400 członków, co zważywszy na ogolną liczbę Polaków w Nowej Zelandii (nie przekracza ona dwa i pół tysiąca) oraz na bardzo wielkie ich rozproszenie, stanowi poważne osiągnięcie. Mamy dość duży Dom Polski z blibliteką liczącą ponad 10.000 tomów, powstałą przeważnie z darów Polonii amerykańskiej. Ludzie dobrej woli głoszą co tydzień odczyty, odbywają się przedstawienia, akademie i zabawy, jest piękny chór uświetniający nasze nabożeństwa i imprezy, wreszcie sekcja sportowa odnosi liczne zwycięstwa w spotkaniach z miejscowymi zespołami. W kilku innych ośrodkach, jak w Auckland i Christchurch istnieją również organizacje polskie. Kombatanci przejawiają coraz większą działalność i współzawodniczą ze Stowarzyszeniem Polskim w pracy społecznej. Powstała też w 1951 r. komisja Skarbu Narodowego, która objęła siecią swoich placówek znaczniejsze polonijne ośrodki kraju. Nie stać nas jeszcze na własną prasę, jest nas bowiem za mało. Zarządy Stow. Polaków i SPK zaradzają temu jednak częściowo, wydając regularnie komunikaty, a niedawno zdobyliśmy się na rocznik pt. „Polak w Nowej Zelandii". Słowem życie polonijne wrasta w ziemię, puszcza coraz to nowe pędy, rozwija się i krzepnie.

* * *

Choć w miarę napływu Polaków do Nowej Zelandii rośnie potrzeba rozbudowy duszpasterstwa polskiego, jestem tutaj nadal jedynym księdzem polskim. Rejon mój sięga 600 km w linii powietrznej na północ od Wellingtonu a 700 km na południe. Trudności są tym większe, że nieco mniej niż połowa Polaków zamieszkuje okolice Wellingtonu, reszta zaś rozrzucona jest po całym kraju, nieraz małymi grupami po

(Dokończenie na str. 2)

Dom Polski w stolicy Kanady

W dniu 11 sierpnia podpisany został akt kupna-sprzedaży, na mocy którego dom wraz z dość dużym placem, położonym w centrum miasta, przy ulicy Gladstone Nr. 280 — przeszedł na własność SPK Koło Nr. 8 w Ottawie.

Od szeregu już lat plany kupna i stworzenia ośrodka polskiego w Ottawie — były marzeniem i stałym dążeniem tych wszystkich, dla których praca społeczna i konieczność zachowania naszych tradycyj narodowych wśród obecnych i przyszłych pokoleń Kanadyjczyków polskiego pochodzenia były i pozostały zawsze naczelnym hasłem w ich poczynaniach.

Cel został osiągnięty. Kołu Nr. 8 SPK udało się po niecałych czterech latach pracy i solidarnego wysiłku wszystkich prawie jego członków — zebrać fundusz (dolarów 6.000), który pozwolił na bardzo zresztą korzystne zakupienie własnego domu.

Jest to dopiero połowa drogi, bo ciążący na tejże nieruchomości dług hipoteczny (dol. 6.500), musi być spłacony w ciągu trzech lat. Plany na przyszłość przewidują dobudowanie sali na polskie przedszkole i żłóbek.

Kombatanci w Ottawie nazwali swój dom „Domem Polskim", a drzwi jego staną otworem dla wszystkich organizacji czy kół zawodowych lub naukowych. Zadaniem tego Domu będzie skupić i zacieśnić luźne więzy — łączące „starych" i „młodych" emigrantów, starsze pokolenie z młodzieżą, której grozi szybkie wynarodowienie.

SPK w Niemczech składa wotum Matce Boskiej

W ramach pielgrzymki i uroczystości maryjnych w „westfalskiej Częstochowie", Neviges, jaką dorocznym zwyczajem odbyła się w uroczystość Narodzenia Najświętszej Panny Marii w dniu 7 września br. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Niemczech złożyło przed cudownym obrazem Królowej Niebieskiej wotum w postaci pięknego, srebrnego ryngrafu z napisem:

„Matko Najświętsza, Opiekunko i Orędowniczko Narodu Polskiego! Żołnierze polscy zrzeszeni w Oddziale Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Niemczech błagają Ciebie, byś raczyła uprosić u Twego Syna Wolną, Niepodległą i Boskimi prawami rządzoną Polskę. Höxter, dnia 7 września 1952."

Wotum, niesione w procesji na Górę Maryjną przez delegację Zarządu Oddziału SPK z jego prezesem na czele oraz w asyście plutonu żołnierzy z 317 Grupy Transportowej MSO z Hamm, zostało poświęcone przez ks. prałata E. Lubowieckiego, wikariusza generalnego, a po nabożeństwie odniesione w procesji do kościoła w Neviges, gdzie je zawieszono przed cudownym obrazem Najświętszej Marii Panny.

Polacy w Nowej Zelandii

(Dokończenie ze str. 1)

kilka osób. A obszar Nowej Zelandii większy jest od Anglii i Szkocji razem wziętych. Nawiązywanie więc kontaktów jest niełatwe, a często i niemożliwe. Od paru z górą lat przedstawiam konieczność sprowadzenia drugiego księdza i nie zaniedbałem w tym celu żadnych środków i wpływów. Wszystko, niestety, na marne. Nie chcą tu mieć więcej, niż jednego polskiego księdza. Liczą się z tym, że za kilka, kilkanaście lat najdalej, Polacy zleją się z resztą parafian, ale nie zdają sobie sprawy z tego — choć nie raz na to zwracałem uwagę — że zleje się część tylko, reszcie zaś grozi odpadnięcie od Kościoła. Jest bowiem takich wielu, co księdza w ogóle nie widzą.

Społeczeństwo katolickie, przeważnie pochodzenia irlandzkiego, patrzy na ogół niechętnym okiem na to, że Polacy chcą żyć własnym życiem, zachować swój język i modlić się po polsku. „Możecie być Polakami" — mówią tu niektórzy do nas — „ale macie mówić i modlić się po angielsku". Taki absurd powstać może tylko w głowach tych, co sami własny język zatracili. Nie odmawia się nam jeszcze prawa do kultury polskiej. Kultura jednak nie jest wszystkim. Można zachować resztki kultury a stracić narodowość. Gdy kilka lat temu powstało w jednym mieście z inicjatywy miejscowych opiekunow koło młodzieży polskiej, to hasłem założycieli było dać Polakom wyżyć się w atmosferze własnej kultury, ale nie dopuścić do zachowania narodowości polskiej. „Polish culture, but not Polish nationality", jak się ktoś wyraził. — Dlaczego? Czyż Polacy nie mają prawa do zachowania odrębności narodowej? — „Nie"— odpowiadają opiekunowie — wzorujcie się na Jugosłowianach i Szwajcarach, którzy tu przed wami przybyli, oni nie mają waszych pretensji, im kultura wystarczy. Wam rownież wystarczyć powinna." — **Tempora mutantur...**, gdy w czasie wojny Anglosasi potrzebowali krwi żołnierza polskiego, to nas do Szwajcarow nie przyrównywali.

Tutejsze pisma wiernie odbijają nastroje społeczeństwa. Jedno z nich ogłasza od czasu do czasu artykuły i notatki na temat życia naszej młodzieży. Przebija w nich nieukrywana radość z tego, że młodzież nasza rzekomo zatraca polskość, zaczyna się wynaradawiać. I tak np. autor pewnego artykułu rozwodził się szeroko nad tym, jak nasze dzieci zmieniają ponoć imiona polskie na angielskie. Gdzieś jakiś chłopiec nazywa się już teraz Bill. Co za tryumf! Autor nie posiada się z radości. O ileż Bill przyjemniej brzmi od naszego Zbyszka. Kto wie, może to właśnie ze Zbyszka zrobiono Bill'a. Trzeba by tylko wiedzieć, czy Zbyszek jest z tej zmiany zadowolony. — Ktoś inny połączył swe polskie nazwisko z irlandzkim i ma być z tego bardzo dumny, „very proud of it". Kiedy indziej znów, w czasie opłatka, jedna z naszych dzewczynek zaśpiewała „When Irish eyes are smiling". Zachwyca się tym autor i rozpływa, kończąc górną uwagą, że „ci, którym to zawdzięczamy mogą Bogu dziękować zo dobrze spełnione zadanie". Dziękować za co? Za to, że Polka śpiewa „when Irish eyes are smiling". I za to trzeba dziękować? To jest cel wychowania katolickiego? A więc zdaniem pewnych osób, celem opieki katolików jest nie tylko pogłębianie ducha religijnego, ile robienie z opłatka, z natury swojej czysto polskiej uroczystości, w której zwyczaje nasze winny być w całości zachowane, jakiejś dziwnej mieszaniny kolęd polskich z angielskimi piosenkami o irlandzkich oczach. I za to właśnie należy specjalnie Bogu dziękować, dziękować za dobrze spełnione zadanie, „for a job well done".

Młodzież polska w Nowej Zelandii nie wynaradawia się zresztą, jakby tego niektórzy pragnęli. Zachowała ona, podobnie jak i większość starszych swe wyraźne polskie oblicze. będąc jednocześnie we wszystkim władzom nowozelandzkim lojalną. Rozumie ona dobrze, że należy się Nowozelandczykom wdzięczność za tak liczne dowody opieki, jakich w pierwszych latach swego tu pobytu od nich doznała. Ale czuje jednocześnie zawsze głęboką miłość dla swej Matki-Ojczyzny.

* * *

Polonia nowozelandzka krzepnie od wewnątrz. Są oczywiście trudności, i to wielkie nawet. Ale pomimo tych trudności rozpęd jest wzięty i nic go już nie powstrzyma. Na polu życia religijnego rownież nie brak pocieszających objawów. Urabia się zwolna elita katolicka odczuwająca potrzebę głębszego nurtu życia religijnego, dowodem czego mogą służyć polskie rekolekcje zamknięte, coraz liczniej obsyłane, cztery w ciągu roku, oraz piękny rozwój nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego. Choć pewna część społeczeństwa i duchowieństwa nawet nie wczuwa się w naszą psychikę, to nie brak jednak księży dobrze do nas ustosunkowanych, którzy chętnie kościołów swych użyczają na nabożeństwa polskie. Mamy też wypróbowanych przyjaciół w zgromadzeniach religijnych, w pierwszym rzędzie u redemptorystów i marystów.

Jesteśmy członkami Kościoła Powszechnego. Mamy prawo Boga chwalić we własnym języku, gdziekolwiek nas losy rzuciły. Żadna narodowość nie może sobie przywłaszczyć monopolu katolicyzmu i narzucać nam swoich praw. Wierzymy też mocno, że przyjdzie chwila, gdy miejscowi katolicy w pełni to zrozumieją i, wyzbywszy się prowincjonalnych poglądów, pogodziwszy się z koniecznością współżycia z katolikami nie irlandzkiego pochodzenia, ustosunkują się do nas we właściwy, prawdziwie chrześcijański sposób.

Ks. L. Plater

Wellington, dnia 1 września 1952 r.

Wręczenie Kombatanckiej Nagrody Pisarskiej

Dnia 10 października, w piątek, o godzinie 6.30 wieczorem nastąpi w Domu Kombatanta uroczyste wręczenie Kombatanckiej Nagrody Pisarskiej, przyznanej w roku bieżącym prof. Oskarowi Haleckiemu i Kołu Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej. Prof. Halecki specjalnie przybywa na uroczystość ze Szwajcarii, gdzie bawi obecnie w celach naukowych.

Osobliwym zbiegiem okoliczności obie nagrodzone przez Jury Kombatanckiej Nagrody Pisarskiej prace, mianowicie „The Borderlands of Civilisation" i "Drogi Cichociemnych", wychodzą nakładem tej samej firmy wydawniczej Sheed and Ward.

B a j k a

Od Danusi Borowskiej z Northwick Park Hostel (Blockley, Moreton in Marsh, Glos) otrzymaliśmy następujący utwór literacki:

Jednego razu były sobie dwa pieski, Bryś i Puszek. Bryś miał kość i nie chciał dać małemu, a Puszek patrzył łakomie na kość. Aż Bryś zobaczył Czarusia. Czaruś się najeżył na Brysia, a Bryś ze strachu puścił kość. A Puszek jak złapał kość, aż się oblizał. A Czaruś wdrapał się na mur.

Marysia i Janek idą ze szkoły. A Puszek cieszy się i goni do Marysi i Janka.

Danuta Borowska

Od Redakcji: Za to piękne opowiadanie małej Danusi prześlemy jako honorarium książeczkę z obrazkami. Wierzymy, że rozwinie ona swój talent literacki i stanie się kiedyś pociechą rodziców. Jej list sprawił nam naprawdę wiele radości.

Poszukiwania

BOLESŁAW HERMAN — b. plutonowy 1 pułku ppanc. z I Dywizji Panc., pracował w biurze PKPR w Witley, podobno wyemigrował do Kanady.

Wiadomości prosimy kierować do Zarządu Gł. SPK, 18, Queens Gate Tce, London S.W.7.

WOJCIECH GNIATCZYŃSKI

Występ poetów „średniego pokolenia"

Wydawcy antologii najnowszej poezji angielskiej m. in. piszą: „Wierzymy, że jasność jest cnotą i że niejasność dla niejasności nie jest poetycka" i „lepiej, żeby poemat był czymś". Tej chyba rozsądnej wiary nie podzielają niektórzy z tych poetów, którzy wzięli udział w „Wieczorze poezji lirycznej", urządzonym przez Zarząd Koła SPK 11 (Środkowy Wschód) w Domu Marynarza przy Wetherby Gardens w Londynie. Ich utwory nasuwają refleksję właściwie niewesołą: co się stało z polską poezją?

W Kraju poeci zostali zmuszeni do „upolitycznienia" swej twórczości robiąc krok wstecz — w stosunku do np. Anglii, gdzie poezję polityczno-socjologiczną uprawiano w latach 1930-40. Po obydwu stronach, katolickiej i „marksistowskiej", piszą, co prawda, poeci prawdziwi, ale skrępowani zakazami i nakazami, których ominąć się nie da. Jak można żądać od poety, by pisał „zrozumiale"? Nie wszystko, co niejasne, jest poezją, ale i nie wszystka poezja jest „jasna". Zresztą „piszemy, żeby zrozumieć, a nie, żeby nas rozumiano" — mówi C. Day Lewis, nawiasem mówiąc, ze wszystkich wybitnych nowoczesnych poetów najbardziej zrozumiały.

Na emigracji mamy kilku poetów tradycyjnych: skamandrytów — Wierzynskiego i Lechonia, wielkiego Łobodowskiego, może Iwaniuka i gromadkę pomniejszych. A z „nowoczesnych" — Pietrkiewicza, Miłosza i... kogo jeszcze? Poezją nie można zarobić na życie...

Nie ma u nas nikogo na miarę Pounda, T. S. Eliota, Day Lewisa, Audena, nie ma dobrej poezji wypływającej z przeżycia religijnego (a taka istnieje we Francji i w Anglii). Żyjemy na Zachodzie, ale jego nowości docierają tylko do nielicznych.

Do takich nielicznych należy Jerzy Pietrkiewicz. Jego „Sielanka stołeczna", którą sam przeczytał na wieczorze, a także wydrukowana w najnowszym numerze „Kultury", jest jednym z tych niezwykle rzadkich na emigracji utworów mówiących o naszych czasach, starających się odkryć trwałe cechy, transcedentnego człowieka w zmieniającej się historii. „Sielanka", transpozycja elementów sielanki łacińskiej ma tło Londynu XX wieku, ma fragmenty odkrywcze, tak bardzo jak tylko poezja odkrywcza być może. Pietrkiewicz porzucił krajobraz innych naszych poetów — marmury, alabastry, kolumny, bzy, słowiki, księżyc. Zamiast błękitnych oczu i włosów jak łany dojrzałej pszenicy widzi autobusy, kafejki i knajpy, słyszy nie muzykę sfer, ale radio, jazz, zgrzyt tramwajów. Ale i on nowatorem nie jest, bo w poezji jego nie ma Pietrkiewicza, a tylko Norwid, Eliot i Bóg wie, kto jeszcze, a przede wszystkim Hopkins, dużo Hopkinsa. Jakie to do siebie podobne: „Tak do taktu turkotem wiatr wwiał w sam środek sielanki..." (Pietrkiewicz) i „Glory be to God for dappled things... Fresh-firecoal chestnut-falls; finches' wings; landscape plotted and piece — fodd, fallow, and plough;" (Hopkins).

Jerzy Petrkiewicz myśli jak poeta; Henryk Mirzwiński — czuje. Poezja Mirzwińskiego oznacza się dobrą tradycyjną metaforą i obrazowaniem, bardzo dobrą wersyfikacją, staranną i ładną pointą i ślicznymi, prawdziwie poetyckimi pomysłami, jak np. cień, który tęskni do nocy nie wiedząc, że w nocy — zginie. Tylko prawdziwy poeta może wpasć na to, by porównać muszlę z „domem białym na złotym piasku". Z nich dwoch Pietrkiewicz jest ciekawszy, ale Mirzwiński przyjemniejszy.

Poezja Józefa Żywiny jest nieporozumieniem. Nazwałbym ją „synonimizmem". Od słownika różni się tym, że pomiędzy jej słowami jednak istnieje jakiś — choć, obawiam się, że tylko powierzchowny, a często wprost pozorny — stosunek. Teorii „poezji czystej" a la Rimbaud i Valery niesposób utrzymać.

Bronisław Przyłuski przeczytał interesujący wyjątek ze swego utworu „O czytaniu poezji", jak gdyby pseudoklasyczny, przywodzący na myśl Pope'a i Boileau.

Marian Czuchnowski odszedł — i to daleko — od przedwojennej „awangardy" i już niejednokrotnie dał wyraz swemu ciągłemu rozwojowi. Jego poezja na wieczorze uderzyła niezwykłą prostotą. Świeżo i czysto zabrzmiała nawet „klisza" o sercach w „Rosie".

Kazimierz Sowiński wyraźnie ucieka od problematyki współczesnej. Jedyny z poetów niejako „religijnych" („Katedra"), nie olśnił błyskiem tej ostatecznej prawdy, której poszukuje każdy poeta.

Marian Łysakowski nawiązuje jakby do Tuwima czy może Gałczyńskiego. Zdaje się, że za mało pisze, na czym cierpi jego warsztat.

Jerzy Niemojowski jest nieskoordynowany, ma gust do takich okropności jak „jedwab oczu zmielony na mleko" („Rozmowa z dziewczęciem polskim").

Interpretacja p. Krystyny Ankwicz była zbyt afektowana, dykcja zła. P. Romana Pawłowska czytała bardzo wyraziście, lecz pod koniec wyraźnie zmęczyła się duszną, nabitą salą i hałasem spóźniających się gości.

Wieczór był interesującym, lecz nie pocieszającym przeglądem twórczości poetów, którym młodości zostało już niewiele.

Wojciech Gniatczyński

Printed for „Polska Walcząca" by „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel. PAD 9734.